Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 48 (552). WARSZAWA, 30 listopada 1929 r. ROK XXII.



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY-ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

Obóz Nr. 27.

Kompletny brak paszy i niezliczone, niewidziane jeszcze w takiej ilości, muchy dały mi się tutaj bardzo we znaki.

Częste deszcze uniemożliwiały mi teraz wczesne wyruszanie z postojów, gdyż mokrych namiotów, z powodu ich zwiększonej wagi, nie mogłem ładować na już i tak osłabione muły. Żywiliśmy się turkawkami, które strzelałem; nic innego tu nie było i nic dostać nie można było nawet za pieniądze.



Na stacji kolejowej Modjo.

Stosunkowo płytka rzeka Maki w przeciągu paru godzin podniosła swój poziom prawie na 2 metry. Szczęście moje, że przeprawiłem się odrazu. Zresztą zwykle to robiłem dla uniknięcia niespodzianek i obozowałem, mając przeprawę już za sobą.

11 czerwca rano kazałem zbierać się do drogi. Przerwał przygotowania ulewny deszcz, który zatrzymał mię znowu na kilka godzin dłużej, dla wysuszenia się rzeczy.

Dzięki temu miałem możność obserwowania przeprawy jakiegoś kalify-czarownika przez wezbraną rzekę. Jegomość ten przyjechał w asyście, ze śpiewem, nad rzekę do dawnego brodu; wygrażając wodzie i krzycząc jakieś zaklęcia, zerwał kalifa trochę trawy; część jej rzucił do rzeki, resztą zaś obdzielił swoich ludzi, którzy pozatykali sobie za uszy źdźbła trawy i dopiero wtedy zaczęli przechodzić wodę. Któryś z asysty zwrócił się do mnie w bezczelny sposób, proponując, bym dał jakiś prezent jego wszechmocnemu władcy. Odegnałem go harapem. Wywołało to niezwykły potok słów u niefortunnego wysłannika. Engeda objaśnił mię, że obrażony kalifa grozi mi z drugiego brzegu, prorokując, że umrę i że spotkają mnie rozmaite nieszczęścia.

Rozgniewany, wyciągnąłem Colta i powiedziałem przez Engedę czarownikowi, że nim zbadam łono Abrahama, — on, o ile nie cofnie w tej chwili tego przekleństwa, które wypowiedział, natychmiast znajdzie się na drodze do wieczności. Wystraszony kalifa zaczął się tłumaczyć, że nie miał zamiaru mnie grozić, tylko Engedzie — i na tem skończyła się nasza rozmowa.

Ruszyliśmy. Zdaleka widziałem jeszcze kalifę, który, kucnąwszy na drugim brzegu, w dalszym ciągu pięścią mi wygrażał.

Gdybym był więcej przesądny, napewnobym przypisywał wszystkie późniejsze przykrości i przypadki w podróży temu złowieszczemu przekleństwu czarownika. Tego samego dnia bowiem spotkały mnie niemiłe wypadki.

Zdążaliśmy do rzeki Hawaszu. W drodze schwytała nas straszna ulewa. Było już późno po południu, a Hawaszu jak nie widać, tak nie widać, choć według mapy oddawna winienem był być nad jego brzegami. W tem miejscu Hawasz był ukryty w wielkiej płaszczyźnie zarośniętej, niczem nie zdradzającej jego kierunku.

Dopiero o zmroku, po dziesięciogodzinnym marszu od brzegów Maki, natknąłem się na upragniony Hawasz.

Miał tu być gdzieś bród, jak mi mówiono, z wodą nie głębszą, niż do pasa. W miejscu, gdzie się zatrzymałem, wydawało mi się, że woda jest płytka. Jak zwykle, wlazłem w mętną wodę i zacząłem iść naprzód, zagłębiając się coraz bardziej; w pewnej chwili miałem już wodę po pachy. Od przeciwległego brzegu byłem oddalony jeszcze trzymetrowej szerokości pasem nurtu. Nagle straciłem grunt i zmuszony byłem płynąć z powrotem do swojej karawany. Bardzo wartki prąd w tem miejscu znosił mię i z trudem dopłynąłem do miejsca, gdzie znowu, chwała Bogu, poczułem grunt pod nogami.

Zmęczyłem się bardzo, gdyż miałem na sobie pistolet Colta w pochwie, kilka magazynów z amunicją, lornetkę, długie buty, w garści zaś ściskałem bicz z hipopotama i oganiaczkę od much. Zegarek na ręku zbuntował się i stanął.



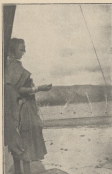
W drodze powrotnej do kraju.

Dopiero kilka kroków dalej znalazłem szczęśliwie możliwe przejście przez rzekę. Przebrnęliśmy jakoś. Zmarznięty, po tej przymusowej, zbyt długiej kąpieli wieczornej, rozkazałem rozbić na brzegu namioty.

Obóz Nr. 28.

Znajdowaliśmy się w kraju Dżilli, zupełnie spokojnej i ucywilizowanej prowincji cesarstwa Abisynji.

Pierwszą moją myślą był zamoknięty zegarek. Wysuszony nad ogniskiem, na blasze — ruszył szczęśliwie. Rano zbudzono mnie , alarmując, że jeden



Nad jeziorem Szala.

z najlepszych mułów, nieporanionych, jest podejrzanie chory i leży opuchnięty. Jak się później dowiedziałem w Addisie, objawy te świadczyły o pokąsaniu przez muchę tse-tse.

Wszelkimi środkami starałem się go ratować, — mimo to, zdechł i 10 funtów djabli wzięli. Miejscowi ludzie informowali mnie, że prawdopodobnie zdechł z powodu tajemniczej choroby, zwanej gara-galcza, albo czita. Byłem taki przemęczony i zobojętniały na wszystko, że stratą tą, bardzo dla mnie ciężką, mało się przejąłem.

Mając żywność na wyczerpaniu, żywiliśmy się tylko zabitemi gęsiami i perliczkami, których dużo tu było. 13 czerwca, w 114-ym dniu wędrówki, powlekliśmy się dalej. Ledwo objuczyłem muły i ruszyliśmy, lunął deszcz, który zmienił ziemię w okolicy w jedno wielkie błoto. Musiałem iść na piechotę, gdyż mój muł ciągle się potykał i ślizgał. Błoto było tak lepkie, że, by sobie ulżyć, szedłem boso. Rezultatem tego doświadczenia było wbicie sobie ogromnego kolca, długiego na palec, w podeszwę. Tkwił tam przez całą drogę obłamany, dopiero na postoju, w następnym obozie, zająłem się wyciąganiem go. Nie udało się, ułamał się w połowie i pozostał tak, tkwiąc w nodze aż do Addisy-Abeby, podczas całego marszu na piechotę.

Muły moje bez dobrej paszy, gnane prawie codzień w pochodach, ustawały zupełnie, — wychudły i wyglądały jak kościotrupy.

Szliśmy tak, ciągnąc z trudem nogę za nogą po tem przeklętem błocie. Jeden muł ustał zupełnie; kazałem go rozładować, zostawiając przy nim i jego bagażach chorego Zergę, sam zaś parłem dalej, zaciskając zęby, w poszukiwaniu źródła z wodą.

W odległości kilometra od rzeki Modjo zatrzymałem się niedaleko jakiejś wioski. Kumalę i jednego muła wysłałem po pozostawione bagaże na drodze. Wrócił z ładunkiem wraz z Zergą, ale bez muła, który zdechł tymczasem.

Na drugi dzień rano ruszyłem do odległej o trzy godziny drogi, stacji kolejowej Modjo, linji Dzibouti-Addis-Abeba. Zabrałem z sobą wszystkie trofea i zbędne w pochodzie rzeczy, które załadowałem na resztę swoich żywych mułów.

W obozie został chory na febrę Ali; Zergu, ledwo włócząc nogami z powodu wysokiej gorączki, towarzyszył nam. Na stacji załadowałem wszystkie zabrane bagaże do wagonu i wysłałem do Addisy. Zergu, polecony opiece kolejarzy, został natychmiast odesłany koleją do szpitala.

Po raz pierwszy od długiego czasu zjadłem przyzwoity obiad na stacji i napaliłem się dosyta, od miesięcy niewidzianych, papierosów, poczem wróciłem do obozu, aby z resztą karawany, której nie mogłem załadować do pociągu, ruszyć natychmiast do Addisy, odległej jeszcze o 60 km.

Musiałem zdecydować się na ten, jeszcze tak uciążliwy, etap drogi, mimo że sam byłem chory i miałem gorączkę oraz opuchniętą nogę, gdyż reszty moich ludzi z karawaną samopas puścić nie mogłem. Nigdyby w tym stanie zdrowia i psychiki nie byli w możności dociągnąć ostatkami sił do celu.

Następnego dnia szliśmy znowu siedem godzin, ciągle stając, gdyż muły ledwo się wlokły, wkońcu, mimo że miały ogromnie zmniejszony ładunek, — ustały zupełnie.

Zatrzymałem się w pustkowiu, koło jakiejś dziury z cuchnącą wodą, i tu rozbiłem obóz Nr. 30.

Obóz Nr. 30.

Okolica była zupełnie inna, niż dotąd spotykane. Większość żyznej ziemi była uprawiona, nawet wykarczowana z krzaków. Teren pagórkowaty — a nad tem wszystkiem królowała Sukwala. Widok jej znowu naprzykrzał mi się aż do znudzenia.



Aurara.

Następnego dnia, 16 czerwca, posunąłem się dalej w kierunku Addissy. Po 8-godzinnym marszu przekroczywszy tor kolejowy, doszedłem, ledwo włócząc nogami, do kompleksu małych jeziorek, zalanych kraterków wulkanicznych, zwanych Bishoftu. Na wschód stąd znajdował się blisko masyw górski He-

rer, który często widziałem z okna swego pokoju w hotelu Imperial, w Adissie.

Tysiące bydła i mułów pasły się na ogromnych, zielonych stepach. Miałem zamiar zatrzymać się tu kilka dni, by odkarmić moje wychudzone zwierzęta, któreby inaczej nie doszły, lub też w samej Adis-Abebie padły z wycieńczenia.

Noce były już bardzo zimne, — znajdowaliśmy się znowu na wysokości 2.500 metrów nad poziomem morza. Z powodu braku drzewa zmuszeni byliśmy robić ogniska, paląc suchy gnój, gdyż drzewa już nie było tutaj na lekarstwo. Żywiłem się tylko gęsiną. — Strzelałem bez trudu do stad dzikich gęsi, żerujących na jeziorkach i przybrzeżnych łąkach.

Engeda, preparując posiłki, a chcąc sobie uprościć robotę, wycinał tylko mięso z piersi, — nie zadawał sobie zupełnie trudu skubania ptactwa — i robił z tego mięsa befsztyki. — Abisyńczycy wogóle rzadko skubią drób — są za leniwi — ściągają poprostu skórę z pierzem. — Patrzyć już na gęsi nie mogłem, tak mi się przejadły.

Muły tak się objadły trawą, że wyglądały jak nadęte balony; mimo to, z poprzedniego wycieńczenia, ledwo trzymały się na nogach. Nie było dnia bez zimnego, ulewnego deszczu — i z żalem patrzyłem na biedne zwierzęta, trzęsące się z zimna, jak galareta.

Mając gęsiny powyżej uszu — na śniadanie, obiad i kolację — sfotografowawszy ostatnią kliszą swój obóz, zdawało mi się, ostatni, — dnia 18-go czerwca postanowiłem ruszyć dalej. Nagle zachorował mój muł wierzchowy. Zmuszony byłem, mimo opuchniętej nogi, iść na piechotę. Po dwóch godzinach moich męczarni, wierny muł — wierzchowiec, ustał tak, mimo że szedł luzem cały czas, iż zostawiłem go w jakiejś wiosce po drodze; mieszkańcy mieli go za nagrodą, o ile wyzdrowieje, doprowadzić w ślad za mną, do Adissy. Zdechł po paru godzinach, jak się okazało, gdyż, zwyczajem abisyńskim, w kilka dni później przyniesiono mi jego ogon do Adissy.

Pod wieczór dopiero dobrnęliśmy do rzeki Wielkiej Akaki, odległej w tem miejscu o cztery godziny drogi od Adissy. Ani ja, ani też moi gorączkujący ludzie, nękani atakami febry i malarji, nie mieliśmy wprost sił iść dalej. Zanocowaliśmy.

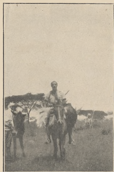


Zbawienne źródło koło Ropi.

Obóz Nr. 31.

Rano — znowu zatrzymanie, z powodu ulewnego deszczu. Wypogodziło się wreszcie i widać było dokładnie, leżącą na stoku górskim Adis-Abebę — iskrzyły się krzyże i dachy blaszane w promieniach słońca. Jednakże zdawało mi się tego ranka, że nigdy nie dowlokę się do celu, tak, mimo wypoczynku nocnego, byłem wyczerpany. — Ruszyliśmy. Po kilku godzinach, które zdawały się wiecznością, weszliśmy w przedmieścia Adis-Abeby.

Karawana moja składała się z czterech poranionych mułów, kościotrupów, i trzech zupełnie chorych ludzi! Ja sam byłem kulawy, z opuchniętą nogą, w stanie gorączkowym. Ali, Engeda i Kumalu szli, słaniając się w wąskich, pełnych błota, karkołomnych uliczkach sławetnej stolicy.



Powrót ze strusiem.

Dosyć miałem już tego. Przechodząc koło miejskich kąpielisk, zasilanych naturalną, gorącą wodą wprost ze źródeł, zatelefonowałem do hotelu, odległego jeszcze o kilka kilometrów, o przysłanie po mnie natychmiast automobilu.

Engeda otrzymał po raz pierwszy rozkaz kierownictwa karawany — to jest tych resztek, z poleceniem doprowadzenia jej do hotelu Impreial.

Przyjazd mój sprawił wielką sensację w hotelu, gdyż w mieście kursowały uporczywe, najbardziej fantastyczne wiadomości i bajdy — o losie mojej wyprawy.

Dzień 19-go czerwca roku 1928 był końcem mojej 120-dniowej wyprawy ciernistym szlakiem w Abisynji.

Z powrotem w Adis-Abebie.

Całe podwórze hotelowe wyglądało jak jakiś targ, tak było zapełnione ludźmi i mułami; wszędzie leżały paki, a pomiędzy niemi kręciło się kilku europejczyków, spalonych fantastycznie na twarzach przez wichry i słonce.

Była to karawana niemieckiej ekspedycji, która pół godziny przedemną wróciła z południowo - zachodniej Abisynji — z ośmiomiesięcznej wyprawy, mającej na celu łapanie żywych zwierząt, specjalnie zaś żyraf, dla ogrodów zoologicznych.

Od niej dowiedziałem się, że w dzień po mojem wyruszeniu w drodze powrotnej z Adami-Tulu oni też tam dotarli, lecz szli później do Adissy inną dro-

gą — przez Guragwe, a nie tak, jak ja, na Hawasz-Modjo.

Wyprawa ich sięgnęła dalej na południe, niż ja, gdyż dotarła do rejonu jeziora Rudolfa; składała się z sześciu europejczyków, sześćdziesięciu czarnych askarów i dziewięćdziesięciu mułów.



Kanał Suezki.

Wszystkie muły stracili oni w nizinie rzeki Omo, od muchy Tse-tse. Stoczyli też trzygodzinną, regularną bitwę z kilkoma setkami zrewoltowanych, dzikich Szankalów. Podczas tej bitwy sami nie odnieśli żadnych strat, zabili zaś w obronie, ośmiu napastników i poranili kilkudziesięciu.

Ekspedycja ta uzbrojona była kapitalnie: oprócz broni myśliwskiej, posiadała kilkanaście mauzerów. W kraju Bako zmuszeni byli zresztą wymienić część mauzerów na muły, które znowu częściowo stracili. Wkońcu dotarli do nowo formującej się misji misjonarzy amerykańskich, w kraju Walamo, skąd, dzięki wypożyczonym mułom, dobrnęli do Adissy.

Dzieliliśmy się wrażeniami i przeżyciami, porównywując i pokazując sobie nawzajem nasze trofea i zbiory. Ogólny zachwyt i zazdrość wywołały moje mydła i psy-lisy. Stałem się bardzo dumny z tych trofeów, gdy się dowiedziałem, że sławny myśliwy, baron Franchetti, który wyruszył prawie równocześnie ze mną, tylko że na południowy wschód, do masywu górskiego Gugu, dla zdobycia Nyal, — jedynych zwierząt, których jeszcze w swych bezkonkurencyjnych zbiorach nie posiadał, — wrócił, nic nie wskórawszy.

Nie mogłem odżałować, że nie miałem możności zapolowania na piękne bawoły i elandy, które tak niedaleko były odemnie, a którymi się niemcy szczycili.

Nagwałt zacząłem likwidować resztki swojej karawany, bojąc się, że osłabione muły padną mi jeszcze w Adis-Abebie; sprzedałem je bardzo dobrze, za 250 talarów (25 funtów), a to z powodu tego, że cena mułów tymczasem ogromnie poszła w górę. Namiotu i całego ekwipunku pozbyłem się za 200 talarów, lokując je u pewnego „szuma" — kacyka szczepu Tigre. Za te pieniądze kupiłem najrozmaitsze osobliwości abisyńskie.

Wolne od tych handlowych operacyj chwile spędzałem znowu w poselstwach, składając wizyty.

Ogromnej pracy wymagało pakowanie i zabezpieczenie trofeów i skór przed zniszczeniem. Ostatecznie, przesypane naftaliną i arszenikiem, zmieściły się w dwóch pakach wagi razem 400 kg.

Po załatwieniu tych nudnych czynności i wiz paszportowych, zażądałem audjencji u Jego Cesarskiej Mości Ras-Tafari-Maconena. Niechętnie się na to zdecydowałem, gdyż nie miałem odpowiedniego prezentu pożegnalnego dla niego.

To też uczyniłem ten krok dopiero na dwa dni przed postanowionym odjazdem, będąc pewny, że audjencji w tak krótkim czasie nie uzyskam. Tymczasem — niespodzianie — rano, w wilję wyjazdu, dnia 30-go czerwca, dostałem zawiadomienie, że Jego Cesarska Mość chce mnie przyjąć u siebie, w swojej nowej rezydencji, o godzinie 4-ej.

Jego Ekscelencja Ato-Sway osobiście mię o tem zawiadomił w hotelu. Nie pozostawało nic innego, jak się tam udać!... Z pustemi rękoma, wschodnim zwyczajem, iść nie wypadało. Ostatecznie zabrałem z sobą srebrny kubek starej, gdańskiej roboty, z bardzo ładnie cyzelowanym, złotym herbem swoim.

(Dok. nast.)





PROPAGANDA ŁOWIECTWA A WYSTAWA KRAJOWA.

Pierwsza Polska Wystawa Krajowa należy do przeszłości. Wspomnienie jej pozostało dla zwiedzających jako czarowny sen z tysiąca i jednej nocy, a pamięć o niej, jak o drogiej, zmarłej osobie, wzbudza smutek i żałości uczucie. Zgasły tysiące żarówek, zawiędły kwieciste kobierce, zapadła ostatnia kropla błyszczących elektrycznością wodotrysków. Zwykły obraz, — ostateczny finał wszelkich ludzkich świetności. Gmachy i pawilony Wystawy znikły lub przechodzą znów do innych, więcej realnych celów. W nich zawarte eksponaty, jak zebrały się tutaj przystrojone i dumne w konkurencji, tak wróciły znowu do swych szarych magazynów i warsztatów, skąd wyszły lub cieszą sprzedających i szczęśliwych nabywców. Osiągnęły one cel swoich zamierzeń.

I wystawcy łowiectwa zadowoleni, nietyle może z odebranych tarczy i medali, z których niejeden już w międzynarodowym turnieju odniósł niemniejsze uznanie, ile raczej z wewnętrznego zadowolenia spełnionego obowiązku. Ci pionierzy łowiectwa polskiego byli z tych niewielu wystawców, co nie liczyli, ani na zbyt swoich okazów, ani na pokonanie konkurencji, ani na nagrody pieniężne. Ich pobudką była, tak samo jak i tych, co wystawili buławy marszałków i zdobyte na pohańcach trofea, — ideologja, sława ojczyzny, miłość do łowiectwa, duma polaka okazania swoim i obcym, co kraj posiada w bogactwie fauny i z nią w łączności będącej kultury myśliwskiej.

Mówię oczywiście o tych, którzy obowiązek ten zrozumieli i wypełnili go.

Jak już wypowiedziałem się w artykule: „Co nas uczy Pierwsza Polska Wystawa Krajowa", nie ze wszystkiem się to stało. Wielu, bardzo wielu z wygody, inni nie chcąc ogołacać ścian apartamentów na kilka miesięcy, lub z obawy przed uszkodzeniem miłych pamiątek i drogocennych trofeów, od wystawienia ich się uchylili.

Ale niestety, były i pewne niedomagania ze strony organizacji wystawy (nie chcę przesądzać, czy z wyłącznej jej winy), ale które tutaj otwarcie jeszcze raz*) ku pożytkowi chociażby już tylko przyszłych imprez wystawowych, wymienić należy.

Komitet wystawy uważał za właściwe, na wzór corocznego, berlińskiego, zielonego tygodnia i z nim w połączeniu będącej wystawy trofeów, premjowanie eksponatów zarządzić przed otwarciem wystawy. Jednocześnie wyszedł też i katalog wystawców, i odznaczenia, jakie otrzymali. Wyglądało to efektownie i sprawnie. Wkrótce okazały się jednak niedomagania takiego postępowania, dobrego może na tygodnie tylko, a nie na miesiące liczącej wystawy. Część eksponatów, i to nie samych łowieckich tylko, nie z winy ich właścicieli nieraz — nadeszła z kilkudniowem, a nawet kilkutygodniowem opóźnieniem. Spowodowało to zwołanie ponowne „jury" i wydanie nowego katalogu, i inne nieprzyjemne incydenty, którym wyraz dość jaskrawo dano w „Łowcu Polskim".

Jeżeli na P. W. K. nic nie brakło, co naród polski mógł wykazać, i dał on ścisły obraz kultury i gospodarstwa w kraju, jego rządu i samorządów, a nadto, że wymienię tylko rolnictwo i przemysł, i w każdym z tych działów wykazał fachowo ściśle, czy to przez statystykę, czy przez eksponaty, jego pożytek i dorobek, to wystawa łowiecka okazała pod tym względem brak jednolitego planu, brak jakichkolwiek danych wskazania potrzeb prawidłowego łowiectwa w życiu gospodarczem i kulturalnem narodu.

Czyż łowiectwo składa się tylko z samych trofeów, z wieńców, rosochów, parostków i szabel; czy

*) Nietylko autor niniejszego artykułu, ale i pp. Wiesław Szczerbiński w „Przeglądzie Leśniczym", Janusz Domaniewski i Stanisław Lilpop w „Łowcu Polskim" wytykali błędy w organizacji.

jest tylko sportem, zabawą i zbytkiem ludzi bogatych, których stać na skóry niedźwiedzie i na wyprawy do Azji i Afryki, i tych, co mogą zdobyć wieńce w kosztownych, karpackich łowiskach, — czy też ma jeszcze inne zadanie do wypełnienia?

Jak cała P. W. K. była okazem i propagandą pracy, kultury i dorobku Polski, tak wystawa łowiecka przedewszystkiem czyniła na zwiedzającym wrażenie artykułu zbytku, pańskiej zachcianki i fantazji. Nikt po zwiedzeniu pawilonu ze znakiem św. Huberta, nie przypuszczałby, iż łowiectwo stanowi jaki dział gospodarstwa krajowego, iż daje pracę przemysłowi, zatrudnia poważną liczbę pracowników, przyczynia się do wyżywienia ludności, dostarcza surowców fabrykantom, w formie skór, kożuchów i piór; iż wytwarza sztukę rzeźbiarską, malarską i zdobniczą, iż posiada literaturę dawną, która obecnie, szczególnie w ostatniem dziesięcioleciu, niezwykłego doznała wzbogacenia i w beletrystyce i dydaktyce, i że wreszcie w szkołach fachowych jest łowiectwo przedmiotem specjalnej nauki.

Poszczególne eksponaty tych działów, o ile wogóle były reprezentowane, nie dały pojęcia o ich znaczeniu. A przecież każda wystawa, przy braku w społeczeństwie zrozumienia potrzeby i znaczenia łowiectwa, daje u nas właśnie najlepszą sposobność propagandy i okazania jej ważności.

Jeżeli pawilon ziemian wystawił zdobyte trofea wojenne, to wykazał i jednocześnie statystycznie i obrazowo kulturę własną, więc zasługi położone w przeszłości, a jednocześnie pokazał, co produkuje z hektara ziemi obecnie i czem kraj bogaci.

Tych wszystkich, tak ważnych zadań propagandy nie zużyto, jak też i nie wskazano i wyzyskano znaczenia kultury łowieckiej.

Powody, dlaczego dział sztuki, a zwłaszcza literatury, był tak niedostatecznie reprezentowany, trudno pojąć.

Przecież był komitet, który miał się specjalnie działem tym zająć, wszakżeż wielokrotnie w pismach zamieszczona odezwa, wymienia najwyraźniej dział **historji, sztuki i literatury** łowieckiej. Gdzież one były? Około 30 tomów wydawnictw wielkopolskich, przeważnie roczniki pism perjodycznych, świeże numery pism fachowych, około 10 książek wydawnictw warszawskich. Tak się wydawał dział dydaktyczny i beletrystyczny polskiej wystawy łowieckiej dla obcokrajowca i dla mało dotąd interesującej się kulturą myśliwską, polskiej publiczności.

Dla wykazania, jak wielki jest w rzeczywistości nasz dorobek w czasach oswobodzonej ojczyzny, w literaturze łowieckiej, i jak łatwy jej zbiór i okaz, udałem się do pewnej księgarni poznańskiej, która mi przedłożyła 59 wydawnictw z ostatniego ośmiolecia, pomiędzy niemi ilustrowane: Korsaka „W polskiej knieí", Krzywoszewskiego „Z przeżyć i wrażeń myśliwskich" z 24 ryc. Mackiewicza, Weyssenhoffa „Soból i Panna', Ejsmonda „W puszczy" i „Wspomnienia Myśliwskie", W. Janty - Połczyńskiego „Św. Eustachy" z ryc. Prauzińskiego. Prócz kilku poznańskich, wszystkie te wydawnictwa nie znalazły się w pawilonie myśliwskim. Zresztą niezebranie tak zaszczytnych dla nas eksponatów na wystawie w komplecie, jest również niezrozumiałe, jak zupełnie pominięcie ich przy premjowaniu. Czy tacy ideologowie przyrody i myślistwa, jak Weysenhoff, Ejsmond, Korsak, Niedbał, Krzywoszewski, Grąbczewski — i w. innych, których wielotomowe księgi, ozdobne w liczne rysunki ilustratorów, przynoszące zaszczyt naszej sztuce, są mniej warte niż trofea z jelenia, które zdobyć może w lasach państwowych za 500 zł. piewszy lepszy strzelec z Pipidówki! Kły słoni i dzików, skóry tygrysów i niedźwiedzi, są jedynie zdobyczą pełnego worka, a jeżeli mimo to uważamy za właściwe ich odznaczenie, to o ile wyższą winna być nagroda za utwór ducha, za wieloletnią pracę w ideologji i nauce myśliwskiej. Mężom, literaturze zasłużonym, udzielenie nagród w takiej chwili to dla propagandy łowiectwa właściwe pole działania.

Płacąc osobne wstępne, 164.363 osób z inteligencji przeszło podwoje pawilonu łowiectwa (z bezpłatnemi z pewnością 200.000). Jakaż była sposobność do propagandy i protekcji, do wydobycia z ukrycia, naszego kopciuszka i wskazania, czem zapełnić można półki księgarskie w miejsce zagranicznej tandety sensacyjnych piśmideł, do zwrócenia uwagi inteligencji naszej na jej znakomity rozwój, na opiewane tam piękno obrazów naszej przyrody, którą znakomici nasi pisarze łowieccy w księgach swoich uwiecznili.

Komitet, powołany do zorganizowania tak wielkiej imprezy, jaką jest Pierwsza Polska Ogólna Wystawa Łowiecka, powinien znać literaturę łowiecką; powinien coś wiedzieć i o jej sztuce, a jeżeli już ją powołał, wzywając do okazu, to w konsekwencji uważać ją powinien za godną i do nagrody. Nie stać nas z pewnością na Nobla, ale przecież jakiś medal i list pochwalny znaleźć się powinien po wynagrodzeniu trofeów, już chociażby dla samej zachęty, a przedewszystkiem reklamy. Trofea myśliwskie obejść się mogą bez niej, ale dla pracy fizycznej i umysłowej jest niezbędna i jej się należy.

W zakończeniu proszę tych, których powyższe dotyczy, aby krytyki ich działań fałszywie nie rozumieli; uznali wszyscy i ja nie mniej ogrom ich pracy. Uwzględnić należy też niezwykle trudne okoliczności, w jakich się obracały ich usiłowania, należy więc conajmniej winę ich podzielić i na tych, którzy trudności te stworzyli.

W każdym razie należy się Komitetowi podziękowanie od nas wszystkich, już za samo dzieło jedności myśliwskiej, które doprowadzili do skutku i które rokuje najlepsze nadzieje na przyszłość.

Ale ta przyszłość będzie wtedy tylko godna naszej wielkiej przeszłości, jeżeli się nie zapomni, iż trofea myśliwskie to tylko jeden stan bytowania, tylko kwiecie na wielkiem drzewie łowieckiem.

A drzewo samo rodzi także i owoc, a korzeni zadaniem ciągnąć soki natchnienia w duszę artystyczną i tworzyć dzieła ku chwale narodu.

WŁADYSŁAW JANTA-POŁCZYŃSKI.



UWAGI O ARTYKULE „MYŚLISTWO PRZYSZŁOŚCI“.

Pech zrządził, że w chwili, gdy oddałem do redakcji „Łowca P.“ krótką wzmiankę o rozkładzie zwierzyny, upolowanej w Afryce, p. Aleksander Janta-Połczyński ukończył właśnie czytanie książki Johnsona „Simba“ i, przejęty jej treścią, przesłał artykuł p. t. „Myślistwo Przyszłości“, wydrukowany w numerze „Łowca P.“ z dn. 3 listopada b. r.

Artykuł p. Janta-Połczyńskiego żywo mnie zainteresował, całą duszą bowiem od dzieciństwa wyznaję zasady tak słusznie przez autora podniesione. Dodam, że nietylko je wyznaję — w życiu i postępowaniu nieraz je w czyn wprowadzałem — tembardziej zdziwiły mnie, niczem nie umotywowane, następujące słowa, które, czytając artykuł, napotkałem:

„Bo ostatecznie w życiu jednego zaledwie człowieka znaczenie będzie miał wogóle ten dziennik myśliwski, w którym niechby nawet zapisane było: 5 lwów z rodziny, która miała 7 członków, jednego wspaniałego, starego grzywacza (tu nie o gołębiu mowa, ale również o lwie. Przypisek p. Janta-Połczyńskiego), 6 słoni, w tem dublet, 1 nosorożec, 2 hipopotamy i t. d. Wystarczy się przyjrzeć wartości tego dziennika myśliwskiego przez pryzmat książki Johnsona, aby zrozumieć, aby już nawet nie dyskutować, nie bronić się...“.

Ależ powoli! Trochę rozwagi w chwalebnym (szczerze to mówię), ale młodym zapale! Czyż wolno tak bezapelacyjnie, bez dopuszczenia obrony, potępiać?

Niewymieniony z nazwiska, ale wyraźnie wskazany, przytoczeniem dosłownem mojej notatki, zostałem niekorzystnie przeciwstawiony ideologji amerykanina, łowiącego kliszą i filmem wspaniałe obrazy kniei afrykańskiej.

Pech mój jest widoczny. Pomijając niezrozumiały odsyłacz do grzywacza lwa, czy gołębia, pech tkwi w tem, że lakoniczna wzmianka o mej wyprawie została uznaną za wyczerpujący dziennik myśliwski! Dziennik mój „Łowiec P.“ obiecuje z czasem wydrukować, a wtedy prawda sama na jaw wyjdzie. Tymczasem jednak zabawnie się stało, że to ja właśnie tak zostałem osądzony, który całem sercem wyznaję ideologję Johnsona i nieraz próbowałem fotografować żywą zwierzynę tak rodzimą, jak ostatnio i afrykańską.

Możliwości są różne. Na co stać Amerykę, na to z trudem tylko zdobywa się zniszczona wojną Polska. Pokazywano mi ubiegłego roku w Paryżu teleobjektyw do przytwierdzenia na aparacie, pozwalający fotografować drapieżniki z bezpiecznej odległości, a oceniony na tysiąc dolarów. Oczywiście, nie kupiłem go, nie posiadałem też nigdy aparatu kinematograficznego, a robiłem co mogłem, zwyczajnym kodakiem. Pozatem starałem się wykorzystać pewne zamiłowanie do rysunku i akwareli.

Nie przypuszczałem, że taką spowiedź przypadnie mi kiedy odbyć, ale, zaczepiony, wspomnieć muszę, jak to, będąc 18-toletnim, rozgorzałym myśliwym i, mając po raz pierwszy w życiu, tokującego cietrzewia przy budce, strzelbę odłożyłem. Jak, zasłuchany w cudną pieśń kieleckiego trubadura, dwie godziny ślicznego ptaka z ukrycia malowałem, aż odleciał. Nieraz też sarny na zrębach utrwalałem w akwareli. Rysunki, przedstawiające żywe, dostrzeżone zwierzęta, dokonane po polowaniu, nie są tem, co migawkowe zdjęcia, ale znalazł się pewien uczony angielski, który zazdrościł mi tych skromnych zdolności. Mówił, że dla niego, gdyby takie zdolności posiadał, byłyby one w Afryce nieocenionemi, bodaj więcej wartemi od wszelkich aparatów.

Dodam jeszcze, że rozkoszą jest dla mnie obserwowanie zwierzyny w lesie, że rogacza od dwóch lat, jelenia od trzech nie strzelałem, mimo że jest ich sporo w rewirze. Zaś mój rozkład afrykański mógł liczyć z całą pewnością o kilka hipopotamów, kilka bawołów, kilkadziesiąt może antylop więcej, aniżeli obejmuje. Co do lwów, szczerze przyznaję, rad byłbym nawet parę sztuk więcej upolować, ale trzeba wiedzieć, że byłem w kraju, gdzie ilość ich jest bodaj nadmierna, a dzięki nieobecności myśliwych, w przeciwieństwie do kolonji angielskich, zagładą bynajmniej niezagrożona. W okolicy zaś, gdzie polowałem, nierzadki był wypadek pożerania przez lwy ludzi w sezonie deszczowym.

Nie dziwię się też komuś, nieświadomemu rzeczy, że tak trudno przychodzi zrozumieć, jaką sumę trudów obejmuje fakt upolowania 6-iu słoni-odyńców. Mało tego: na jaką siłę woli w pohamowaniu swej żyłki, przemęczony myśliwy zdobyć się musi, gdy rozżarty dziesięciogodzinnym, nieraz parodniowym

marszem w podzwrotnikowym upale, doszedłszy wreszcie słonia, wypadnie mu x razy zrezygnować ze strzału, ze względu na to, że zwierz nie jest tak tęgim osobnikiem, za jakiego, sądząc po tropach, mylnie go poczytał.

Wbrew słowom autora „Myślistwa Przyszłości" śmiem twierdzić, że mój dziennik będzie mógł zainteresować prawdziwych myśliwych, nieobcą jest mi bowiem sprawa zachowania ginących, wspaniałych gatunków.

Wyjaśnić tu jednak p. Janta-Połczyńskiemu muszę, że na sprawę, niestety, nieuchronnej (mojem zdaniem) zagłady słonia, nie wpłynie decyzja powstrzymania się od polowania choćby wszystkich białych myśliwych! Słoni pada rocznie na świecie zastraszająca liczba czterdzieści tysięcy sztuk. (C. Gide: Cours d'Economie Politique. Paris, 1925). W tej cyfrze procent zabijanych zwierząt przez białych jest znikomy wobec ilości niszczonych przez negrów, którzy w jednym pożarze stepu spalają od kilkunastu do paruset sztuk (250 słoni spalono w 1927 r. w Circonscription de l'Ouhame - Subdivisions de Bouca et de Batangafo. Col Oubangui - Chari. A. E. F.).

Myślę, że miłośników przyrody zainteresować może, iż obok zabicia 6-iu słoni, polując w Afryce w bieżącym roku, przewąchawszy zamiary miejscowych kacyków, straciłem w lutym dwa bezcenne tygodnie i naraziłem się nie na żarty owym władcom murzyńskim, paląc olbrzymie przestrzenie stepów. Stepy te zachowali oni umyślnie na przynętę dla słoni z zamiarem otoczenia tych zwierząt pierścieniem ognia. Paląc stepy, ubiegłem murzynów, w celu uratowania słoni od zagłady. Pomijając zaś niebezpieczeństwo zemsty, jaką tym czynem mogłem na siebie ściągnąć, wystarczy dla oceny tego faktu przeczytać słowa księcia Sapiehy o tem, jak ważną jest przychylność tubylców dla powodzenia łowów.

Z wyprawy swojej przywiozłem ze dwieście akwarel, sporo fotografij, w tem parę zdjęć słoni, antylop na wolności i to żywych. Zapraszam niniejszem p. A. Janta - Połczyńskiego, aby zechciał obejrzeć je w Warszawie na wiosnę przyszłego roku. Zamierzam bowiem wystawić je wraz z trofeami i zbiorami motyli, owadów etc.

Daleki jestem od porównywania swoich poczynań z realnymi wynikami ludzi, jak Johnson, Maxwell i inni, może jednak p. Połczyński po zapoznaniu się z powyższem przyzna, że sąd jego był nieco przedwczesny.

Ale dosyć już tej obrony, która, wbrew moim intencjom, zaczyna się przeradzać w samochwałę. Teraz z innej beczki.

Z racją p. Janta-Połczyński potępia bezmyślne zabijanie i podnosi, że strzał jest tylko słuszną i logiczną koniecznością łowów. Tak jest. Łowy wszelkie upajają człowieka jak wino, ale po upojeniu przychodzi reakcja, — w tem leży wyższość aparatu i pędzla nad bronią, że po nich nie następuje reakcja żalu. Ja żal, niemal zawsze, odczuwam, ale, jak większość myśliwych, jak pijak przed winem, tak nie zawsze umiem obronić się przed nałogiem zakończenia łowów śmiercionośnym strzałem. A strzał ten często jest wskazany z punktu widzenia racjonalnego polowania. Wyższość aparatu i w tem tkwi, że przysparza korzyści nauce z niecodziennej strony, ale aparat sam, jako pobudka i narzędzie łowów, rzadko może dać wyczerpujący obraz rzeczywistości. To zresztą sam autor artykułu przyznaje. Ja jednak idę dalej. Nie wiem, czy określenie „potężny słoń pojedynek", umieszczone pod dołączoną do artykułu p. Połczyńskiego, śliczną fotografją słonia o kłach zaledwie czterdziestocentymetrowej długości u pyska, pochodzi żywcem z książki Martina Johnsona, czy są to słowa autora artykułu. Jeżeli to pierwsze jest prawdą, prowadziłoby to do następującego wniosku. Chętka zdobycia niezwykłych trofeów może nieraz z lepszym skutkiem doprowadzić do ustalenia słusznego sądu o tem, jakie zwierzę można uznać za tęgiego, dojrzałego osobnika danego gatunku. Dowodem mego twierdzenia jest wyżej wymieniona fotografja i umieszczony pod nią napis tak rażący afrykańczyka nieznajomością rzeczy, jak, dajmy na to, raziłby polskiego myśliwego identyczny napis umieszczony pod fotografją jelenia - szóstaka.

Ze swojego bowiem skromnego doświadczenia (widziałem ponad setkę słoni w kilkunastu spotkaniach, pięć miesięcy żyłem w puszczy, pozatem trochę czytałem) śmiem twierdzić, że słoń na wyż. wym. fotografji jest bardzo młodym osobnikiem, który tylko dzięki wyjątkowej przyczynie, jakie się czasem zdarzają, mógł przypadkowo odbić się od stada i tak rzeczywiście zostać samotnikiem. Tęgim zaś, wybaczy Sz. A., stanowczo nie jest, i takiego egzamplarza nigdybym sam nie strzelał, ale z radością dał mu w zgodzie z Johnsonem urlop conajmniej trzydziestoletni!

Szkoda, że wyliczając zagranicznych pionierów filmowania fauny afrykańskiej, autor artykułu nie wspomniał o próbach polaka, Leona ks. Sapiehy, który również z nieustraszoną małżonką, niezwykle piękne zdjęcia słoni nakręcił, a w tym roku ponoć znowu uzyskał, bodaj pierwszy na świecie, wspaniałe filmy goryli. Mówiąc o amerykanach i niemcach, należało i o rodzinnych poczynaniach wspomnieć, a było to zupełnie możliwe, gdyż książka Sapiehy od roku leży na półkach księgarskich.

Na zakończenie proszę mi wierzyć, Kolego - myśliwy, że ani odrobiny urazy nie czuję; proszę ze swojej strony nie brać za złe tych paru słów wyjaśnienia. Ufam, że jak ja życzliwie polecam więcej „caritatis", a mniej powierzchowności w sądach, tak równie życzliwie uwagi te będą przyjęte. Poza tą konieczną moją obroną nie wezmę udziału w zbędnej na łamach Łowca P. polemice, której ufam, unikniemy.

Wołajmy, Kolego o rozpowszechnienie ideologji prawdziwie myśliwskiej, gorąco, jak Szanowny Pan to czyni, ograniczajmy zabijanie zwierzyny do racjonalnego odstrzału dojrzałych lub nadliczbowych i chorych osobników, ale, propagując te hasła, unikajmy zadraśnięć bez słusznej przyczyny.

Dla sprawy łowiectwa w Polsce wspólny, zgodny nasz wysiłek jest niezbędny.

STANISŁAW ZAMOYSKI.

SPRAWOZDANIE SĘDZIÓW Z PRÓB POLOWYCH

W DNIACH 15 i 16 WRZEŚNIA 1929 ROKU.

Terenem tegorocznych jesiennych prób polowych, urządzonych staraniem Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich, podobnie jak i zeszłorocznych, były łaskawie przez zarząd Dóbr Wilanowskich oddane do dyspozycji Towarzystwa rewiry myśliwskie Wilanowa.

Pogodne dnie jesienne, lekki wiatr północno-wschodni, niewysoka temperatura i wystarczająca ilość kur podczas prób, dawały możność menerom wykazania pracy uzdolnień swych wychowańców.

Ze względu na znaczną ilość młodzieży, sprowadzonej z zagranicy w ciągu ostatniego roku, a wyhodowanej i ułożonej w kraju, stosownie do miejscowych warunków pracy psa myśliwskiego, tegoroczne próby polowe zapowiadały się niezwykle interesująco i zgromadziły w dn. 15 września znaczną ilość gości, przybyłych nawet z odległych krańców państwa, aby przejrzeć w polu ten materjał, który posiadają nasi hodowcy, a również ocenić postępy treserów, od których umiejętności w wysokim stopniu zależą wyniki prób polowych. Obecny był również przedstawiciel p. Ministra Rolnictwa, specjalnie delegowany na próby referent łowiecki, radca ministerjalny, p. Juljan Ejsmond.

Oprócz dyplomów Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich do dyspozycji sędziów zostały oddane pieniężne nagrody w sumie 500 zł., łaskawie wyasygnowane dla Towarzystwa przez Ministerstwo Rolnictwa na tegoroczne próby polowe; 300 zł., ofiarowane przez Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich dla najlepszego psa w klasie otwartej, wreszcie 200 zł., ofiarowane przez prezesa Towarzystwa, p. O. Saengera, jako nagroda dla najlepszego psa polowego w klasie młodzieży.

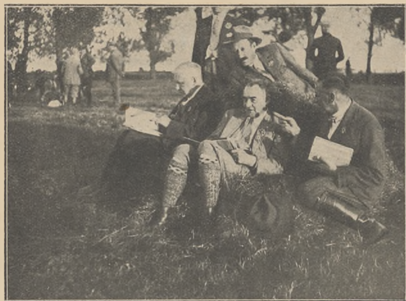
Ze względu na ilość zapisanych na próby psów, pierwszy dzień został przeznaczony na próby młodzieży, dla psów w pierwszem polu, urodzonych po 1 stycznia poprzedniego roku, zaś drugi dzień — dla klasy otwartej i klasy zwycięzców, t. j. dla psów, które na poprzednich próbach, w klasie otwartej, otrzymały pierwsze lub drugie miejsce przy dyplomach 1-go stopnia.

Do klasy młodzieży na próby zapisano 12 psów: 9 pointerów, 1 setter angielski i 2 wyżły niemieckie.

Do klasy otwartej — 8 psów (pointerów) i do klasy zwycięzców — 3 pointery. Razem zapisano na próby 23 psy, z których na drugi dzień prób nie dostarczono 4 psów, reszta — 19 psów przy 4 treserach stanęła przed sędziami.

Skład sędziów w klasie młodzieży i klasie zwycięzców stanowili pp.: M. Bielawski, H. Knothe i B. Prychodzko; w klasie otwartej pp.: M. Bielawski, A. Obniski i B. Prychodzko.

Przed rozpoczęciem prób, jak zwykle, odbyło się losowanie zapisanych na próby psów, w celu ustalenia kolejności ich pracy, jak to widać z listy następnej:



Grupa sędziów. Siedzą u dołu: M. Prichodzko, H. Knothe i M. Bielawski; nad nimi: A. Obniski.

I. Klasa młodzieży.

1. **Bolmil Juno,** pointer, suka, biała w bronz. łaty, urodzona 16.3.28 (Skogis Pampas-Blackfield Fate (Ganka). Hodowca B. Milewski. Właściciel K. Antoszewski, prowadzi pułk. Herman.

2. **Rywal,** niemiecki wyżeł gładkowłosy, bronz. cętkowany, urodzony 15.5.28 (Fryga, — pointer — Ikar, niem. wyż.). Hodowca T. Abramowicz, prowadzi M. Abramowicz.

3. **Boy,** setter angielski, biały w czarne łaty, 1 r. 4 mies. Właśc. Bakierowski, prowadził F. Śledziński.

4. **Ram,** niemiecki wyżeł ostrowłosy, bronzowocętk., 11 mies. Właśc. J. Cybulski, prow. właśc.

5. **Ruhm,** pointer, żółty, urodzony 10.4.28 (Sporting Hela — Cz. Lord Buchanan). Hodowca Er. Akerlund (Szwecja). Właściciel K. Antoszewski, prowadzi pułk. Herman.

6. **Kontra,** pointer, suka, czarna, urodz. 15.4.28

(Mocca — Pandur). Hodowca i właściciel K. Świderski, prowadzi p. Łosakiewicz.

7. **Irma,** pointer, suka, żółta, urodzona 10.4.28 (Sporting Hela — Cz. Lord Buchanan). Hodowca Er. Akerlund (Szwecja). Właściciel — K. Antoszewski, prowadzi pułk. Herman.

8. **Supra,** pointer, suka, biała w czarne łaty, urodzona 15.4.28 (Mocca — Pandur). Hodowca K. Świderski. Właściciel M. Hoffman, prowadzi J. Elchner.

9. **Skogis Grom,** pointer, biały w czarne łaty, urodzony 13.5.28 (Ch. Skogis Sessan — Nackarps Boy). Hodowca Gustaw Lundberg (Szwecja). Właściciel — K. Antoszewski, prowadzi pułk. Herman.

10. **Skogis Boy,** pointer, biały w bronzowe łaty, urodzony 13.5.28 (Ch. Skogis Sessan — Nackarps Boy). Hodowca Gustaw Lundberg (Szwecja). Właściciel — Łowiecki Związek Hodowlany. Prowadzi p. Łosakiewicz.

11. **Bolmil Par,** pointer, czarny, urodzony 16.3.28 (Blackfield Fate (Ganka) — Skogis Pampas). Hodowca B. Milewski. Właściciel — Cz. Michałowski, prowadzi B. Milewski.

12. **Bolmil Prima,** pointer, suka, biała w czarne łaty, urodzona 16.3.28 (Blackfield Fate (Ganka) — Skogis Pampas). Hodowca — B. Milewski. Właściciel A. Brudnicki, prowadzi właśc.

II. Klasa otwarta.

1. **Leda,** pointer, suka, biała w bronzowe łaty, urodzona 13.5.28 (Luna — Ali). Hodowca — p. Szeligowski (Łowicz). Właściciel p. Łosakiewicz, prowadzi właśc.

2. **Rob,** pointer, czarny, urodzony 21.6.26 (Fryga — Skogis Black Devil). Hodowca — T. Abramowicz. Właściciel — S. Czerski, prowadzi J. Elchner.

3. **Bolmil Prima** (p. klasa młodzieży).

4. **Ruhm** (p. klasa młodzieży).

5. **Bolmil Rap,** pointer, biały w czarne łaty, urodzony 29.8.27 (Blackfield Fate (Ganka) — Skogis Pampas). Hodowca — B. Milewski. Właściciel W. Garczyński, prowadzi właśc.

6. **Szatan,** pointer, czarny, urodzony 21.6.27 (Żaba — Skogis Pampas). Hodowca i właściciel Herm. Knothe, prowadzi Wolski.

7. **Irma** (p. klasa młodzieży).

8. **Arthemis (Arta),** pointer, suka, biała w czarne łaty, urodzona 21.6.27 (Żaba — Skogis Pampas). Hodowca i właściciel Herm. Knothe, prowadzi Wolski.

III. Klasa zwycięzców.

1. **Pandur,** pointer czarny, urodzony 18.3.26 (Norma — Skogis Black Devil). Hodowca i właściciel K. Antoszewski, prowadzi pułk. Herman.

2. **Rek,** pointer czarny, urodzony 28.5.24 (Aza — Blackfield Frant). Hodowca B. Milewski. Właściciel Ed. Steliński, prowadzi właśc.

3. **Black,** pointer czarny, urodzony 18.3.26 (Norma — Skogis Black Devil). Hodowca K. Antoszewski, właściciel — I. Antoszewski, prowadzi właśc.

Stosownie do tablicy punktowej oceny pracy psów w polu, tegoroczne próby polowe Towarzystwa Hodowli psów myśliwskich dały następujące wyniki:

NAZWA PSA WŁAŚCICIEL NAGRODZENIE	Wiatr	Szybkość i sposób szukania	Styl i piękno pracy	Wystawianie	Ściąganie 4 Doprowadzanie 11	Tresura 17 Aport 3	Razem
	25	20	15	5	15	20	100
	KLASA MŁODZIEŻY						
1. **Bolmil Prima** A. Brudnickiego. I miejsce i dyplom I stopnia. 200 zł. ofiarow. przez Prezesa T-wa p. Saengera	20	18	15	4	14	15	86
2. **Kontra** p. Świderskiego. II miejsce i dyplom II stopnia	18	15	13	4	13	16	79
3. **Skogis Grom** K. Antoszewskiego. III miejsce i dyplom III stopnia	16	12	13	3	13	13	70
4. **Skogis Boy** Łowieckiego Związku Hodowlanego. IV miejsce i dyplom III stopnia	16	13	12	3	13	12	69
5. **Bolmil Juno** K. Antoszewskiego. V miejsce i dyplom III stopnia	16	9	9	3	11	12	60
6. **Irma** K. Antoszewskiego. Bez miejsca	14	15	13	3	11	12	68
7. **Ruhm** K. Antoszewskiego. Bez miejsca	15	13	10	3	12	12	65
8. **Boy** p. Bakierowskiego. Bez miejsca	15	12	10	4	11	12	64
9. **Rywal** T. Abramowicza. Bez miejsca	13	10	8	3	7	12	53
10. **Ram** p. Cybulskiego	bez oceny.						
11. **Supra** p. Hoffmana	bez oceny.						
12. **Bolmil Par** p. Michałowskiego	bez oceny.						
	KLASA OTWARTA						
1. **Bolmil Prima** A. Brudnickiego. I miejsce i dyplom I stopnia. 300 zł. ofiarowanych przez Centr. Związek Pol. Stow. Łowieckich.	21	18	15	5	15	15	89
2. **Bolmil Rap** W. Garczyńskiego. II miejsce i dyplom I stopnia	22	18	14	5	14	10	83
3. **Szatan** H. Knothe. III miejsce i dyplom III stopnia	16	16	12	4	13	14	75
4. **Arthemis (Arta)** H. Knothe. Bez miejsca	15	11	10	3	12	14	65
5. **Leda** p. Łosakiewicza. Bez miejsca	15	9	7	3	11	12	57
6. **Rob** J. Czerskiego	bez oceny.						
7. **Ruhm** K. Antoszewskiego	nieobecny.						
8. **Irma** K. Antoszewskiego	nieobecna.						
	KLASA ZWYCIĘZCÓW						
1. **Pandur** K. Antoszewskiego	nieobecny.						
2. **Rek** E. Stelińskiego	bez oceny.						
3. **Black** I. Antoszewskiego	nieobecny.						

(C. d. n.)



POWIAT PŁOCKI POD WZGLĘDEM ŁOWIECKIM.

(Zob. Nr. 47).

Najniepomyślniejsze warunki znajdują się na terenach, gdzie rozsiane są zagrody parcelantów i odseparowanych włościan. Niezbyt pomyślne warunki spostrzegamy także na gruntach gospodarzy wioskowych. Wyobraźmy sobie długie, wąskie, po kilka do kilkunastu prętów szerokości mające paski ziemi ornej, pooddzielane od siebie również długiemi miedzami. Jedne paski zasiane są oziminą, drugie owsem, trzecie łubinem, czwarte wyką, saradelą lub koniczyną. Najwięcej jednak pasów przeznaczonych jest pod kartofle, a mniej — pod inne okopowe: brukiew, marchew pastewna, buraki pastewne i cukrowe, kapusta i inne ogrodowizny. Ciągła praca od wczesnej wiosny na pasach okopowizny (orka, bronowanie, sadzenie, kilkakrotne redlenie i pielenie) wystrasza zwierzynę z sąsiednich pasów jarzyn i ozimin. Trzeba zatem szczególniejszego wypadku, aby pasy jarzyn i ozimin na większej powierzchni przylegały do siebie, by tym sposobem wytworzyły się zarówno dla zająca, jak i dla kuropatwy, odpowiednie warunki do wyprowadzenia potomstwa zdala od niespokojnych pasów kartoflanych.

Przy wczesnem koszeniu koniczyn i traw, dużo kuropatw twardo siedzących na jajach, ponosi śmierć, jaja zaś ulegają zniszczeniu. Obecne zazwyczaj przy sianokosach wyrostki wiejskie zabierają do domu znalezione, młode zajączki; męczone przez dzieci i pozbawione naturalnego pokarmu, jakim jest mleko zajęczycy, wkrótce padają.

W ciepłe dnie końca maja i początku czerwca, wyrostki wiejskie grupami udają się na łąki i mokradła dla wyszukiwania gniazd dzikich kaczek. Ze znalezionych jaj, o ile są niezalężone, smażą sobie jajecznicę, zalężone zaś tłuką.

Dodajmy do tego, że każdy właściciel drobnego gospodarstwa rolnego utrzymuje conajmniej dwa psy, mieszańce różnych ras, źle je karmi i zwykle zabiera z sobą, kiedy wychodzi w pole do pracy.

Pieski, ma się rozumieć, bobrują po oziminach i koniczynach, wyszukują smakołyki w postaci młodych zajączków i kuropatewek, i zapełniają niemi puste swe żołądki. Niektórzy gospodarze, obawiając się protokułów policyjnych, dniem trzymają psy na uwięzi, wieczorem jednak spuszczają je z łańcuchów. Nic tedy dziwnego, że nocami zbierają się stada piesków i urządzają sobie obławy na zające w sposób, niejednokrotnie przez obserwatorów w pismach łowieckich opisywany. Chłopek, zapytany, dlaczego tak skąpo odżywia swego psa, bez żenady odpowiada: „A cóż to on nie może sobie znaleźć „żarcia" w polu?!". To też słyszane nieraz w nocy lub nad ranem kniazienie jest niczem innem, jeno oznaką schwytania szaraka przez polujące kundle (rzadziej przez lisa).

Przeważnie z pośród małorolnych rekrutują się t. zw. wnykarze, zastawiający na zające pętle druciane, czyli wnyki. Wnyki takie znaleźć można w rowach, przy krzaczkach na miedzach, w zagajnikach i zaroślach, a nawet w bruzdach łanów zbożowych, zimową zaś porą na odznaczających się na śniegu steczkach zajęczych.

Taż warstwa ludności daje również największą ilość sidlarzy, czyli specjalistów od wyłapywania w zimie kuropatw całemi nieraz stadkami na pętle z plecionego włosia końskiego.

Wśród chłopków niemało jest i kłusowników tępiących zwierzynę z broni palnej. Kłusownik, jako nieposiadający pozwolenia na broń i karty łowieckiej, rzadko odważa się polować w dzień, przeważnie więc czatuje na zwierzynę pod zagajnikami, pod stogami, w zaroślach wczesnym rankiem lub po zachodzie słońca, a w śnieżne zimy całemi nocami. Aby uniknąć schwytania na gorącym uczynku, kłusownik strzela tylko na bliskie dystanse, czemprędzej podnosi ubitą zwierzynę i kłusem ucieka do domu, bądź na zasiadkę w inne, uprzednio upatrzone miejsce. Strzelby swoje, zarówno jak i zwierzynę, kłusownicy umieją tak zręcznie ukrywać w różnych skrytkach swego domostwa, w dziuplach drzew, w stogach, a nawet w domach sąsiadów, że funkcjonarjusze policji, mimo skrzętnych poszukiwań, często nie są w możności odnaleźć tych rzeczowych dowodów winy kłusownika. Kłusownik, przyłapany nawet na niecnem swem rzemiośle, traci materjalnie bardzo niewiele, bo małowartościową broń, którą wkrótce zastąpi takąż nową.

W ostatnich czasach wśród szoferów dorożek samochodowych rozwinął się sport przejeżdżania zajęcy, oślepionych światłem reflektorów. Każdy niemal szofer chwali się, że w ten sposób zdobywa corocznie po kilkadziesiąt zajęcy. Schwytanie takiego kłusownika, każdy przyzna, jest rzeczą nadzwyczaj trudną.

(C. d. n.). Dr. J. ŻEŃCZYKOWSKI.

PLAGA MYSZY POLNYCH A PTACTWO.

Ostatnio rozmnożyły się na polach powiatu przemyskiego myszy polne. Mysz polna (Mus agrarius) jest to wielki szkodnik dla rolnictwa, czyniący w suche lata, istne spustoszenie, przenosząc się całymi orszakami z miejsca na miejsce. Dawne kroniki notują, że we Frankonji 1742 r. myszy zjadły około dwóch tysięcy korców zboża. Mieliśmy też w Polsce ich plagi. Bielski pisze, że 1470 roku tak się myszy rozmnożyły, iż wszystkim zboża poniszczyły i głód sprawiły. Od Nakielskiego zaś dowiadujemy się, że 1662 roku myszy przepłynęły Dniestr i spustoszyły pola podolskie i ukraińskie.

Jest więc rzeczą zrozumiałą, że właściciele pól ornych bronią się przed tą plagą. I byłoby wszystko w porządku, gdyby ta obrona nie pociągała z drugiej strony zagłady wszelkiego ptactwa łownego i pożytecznego.

Mysz polna ma swoich wrogów w postaci dziennych ptaków drapieżnych, następnie sów i lisów, a wreszcie mokre lato wyniszcza je pokaźnie. Środki te jednak nie wystarczają i człowiek jest zmuszony sam szukać sposobów zaradczych.

Dowiaduję się z poważnego źródła, że niektórzy właściciele gruntów rozrzucili po polach wielką ilość pszenicy zatrutej strychniną. Skutek tego był fatalny, gdyż oprócz myszy, wyginęło masowo całe pożyteczne ptactwo żywiące się ziarnem, a szczególnie kuropatwy, te ostatnie niedobitki, które cudem przetrwały zeszłoroczną zimę, ścigane nadto, prócz mrozu, także chciwością ludzką.

Niechaj mi wolno będzie przypomnieć w imię ochrony wiernych ptaków naszych, że do tępienia myszy należy używać szczepienia tyfusu mysiego. A jeśli już koniecznie ma być użyte zatrute ziarno, to należy je wsypywać do dziur mysich, a nie rozsypywać po polach. W tym duchu powinno włościan pouczyć nietylko Okręgowe Tow. Rolnicze w Przemyślu, ale wszystkie instytucje pracujące społecznie wśród ludu, a starostwo mające pieczę nad zwierzostanem i ptactwem w powiecie, powinno wydać do gmin okólnik, jak to przed rokiem uczyniło Województwo Lwowskie L. S. A. 12190 z dnia 30 września 1928 r. w tej samej sprawie w stosunku do Starostwa w Rzeszowie.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

LITERATURA ZAGRANICZNA O CHOROBACH PSÓW.

W różnych zeszytach „Wiadomości Weterynaryjnych" znajdują się liczne sprawozdania o książkach francuskich, niemieckich i t. d., poświęconych opisom zachorowań zwierząt wszelkich. Pośród tych sprawozdań są specjalnie poświęcone chorobom psów, a rozrzucone w wielu numerach tego wydawnictwa i opracowane przeważnie przez p. J. Szabłowskiego. Ciekawsze z nich powinny zainteresować hodowców psów myśliwskich.

Jądro w kanale pachwinowym u zapłodnionej suki. Suka 3-letnia z częściowymi objawami obojnactwa (hermaphroditismus) porodziła kilkakrotnie szczenięta w ilościach od 7 do 3 sztuk. Po ostatnim porodzie stwierdzono w okolicy lewej pachwiny twardy, niebolesny obrzęk, wielkości jajka gołębiego. Przypuszczano możliwość powstania w tem miejscu przepukliny po ostatnim porodzie. Obrzęk o powierzchni gładkiej, konsystencji nieco elastycznej, przesunięcie jego w tę lub ową stronę — bardzo trudne. Zdecydowano się wykonać zabieg operacyjny. Przekonano się, że ów obrzęk było to jądro, wielkości prawie że normalnej, otoczone obfitą tkanką łączną. Badania histologiczne wykazały, iż gruczoł przerośnięty jest znaczną ilością białawej tkanki łącznej, która w głębszych warstwach jądra utworzyła cieniuteńką siateczkę, w której oczkach szły kanaliki nasienne. Komórki nasienne bardzo słabo rozwinięte. Czy wspomniana suka posiada drugie jądro, nie stwierdzono.

Polineuritis u młodych psów na tle niedostatecznego ich żywienia. Polineuritis na tle niedostatecznego odżywiania, braku witaminów, o wiele częściej obserwowane było u ludzi, aniżeli u zwierząt. Są jednak pewne obserwacje i w tym kierunku, np. Eikman opisał to zjawisko u kur, żywionych łuszczonym ryżem, Eujitani — u papug, a cały szereg autorów u królików, myszy i psów. Glyns, Weil, Mouriquand wykazali, iż choroba ta występuje nietylko po spożywaniu łuszczonego ryżu, lecz również po długotrwałem karmieniu łuszczonym jęczmieniem, kukurydzą i t. p. Autor w 1927 r. obserwował polineuritis u dwóch psów, żywionych odpadkami z kuchni. Wspomniane psy przeważnie jadły mamałygę (mąka z łuszczonej kukurydzy). Objawy chorobowe wystąpiły po 35 dniach i były następujące. Szczenięta czołgały się na brzuchu po ziemi, nie mogąc się podnieść. Wrażliwość mięśni na prąd elektryczny znacznie zmniejszona, jak również na inne podrażnienia zewnętrzne. Szczególnie wybitnie występowało to na kończynach. Mięśnie policzków prawie że normalne. Pozatem psy zupełnie zdrowe. Jeden ze wspomnianych psów szybko wyzdrowiał po odpowiedniej, jakościowej zmianie pokarmu, drugiego natomiast zabito. W zakończeniach włókien nerwowych kończyn stwierdzono pod mikroskopem: rozpad myeliny na osłonce rdzennej i rozczepienie włókien rdzennych.

O szczepieniu przeciw wściekliźnie pisze tenże autor obszerniej na podstawie biuletynów akademji francuskiej. Z pracy tej przytaczamy trochę szczegółów dotyczących psów.

Remlinger w latach 1918 — 1919 zapoczątkował studja nad wynalezieniem nowych szczepionek przeciwko wściekliźnie, zastosowując w tym celu działanie eteru na jad wścieklizny. Pojedyncze dawki podskórne wynoszą 20 ccm., zastrzykuje się je co 24 godz. Injekcje robi się psom na wewnętrznej stronie uda lub w okolicy pępowiny. Oczywiście, zachowanie najściślejszej antyseptyki jest konieczne. Szczepionki

eterowe mają własność lecznicą i zapobiegawczą. Np. dziesięć psów, pokąsanych przez psy niewątpliwie chore na wściekliznę, po zastosowaniu omawianych szczepionek, pozostały zdrowe, nie zdradzając przytem żadnych objawów chorobowych. Szczepionkę w wielu przypadkach (60) stosowano w tych samych dawkach, nie biorąc pod uwagę ani wieku zwierzęcia, ani rasy, ani wzrostu; żadnych zaburzeń ze strony organizmu nie obserwowano. Zwierzęta nawet chore (np. na nosówkę), jak również i ciężarne, — też dobrze znosiły szczepienia.

Czasy ochronne.

(Przypomnienie zmian w grudniu).

Dnia 1-go grudnia: rozpoczyna się czas ochronny na **borsuki i kuropatwy** wszędzie, podług ustawy zasadniczej;

otwarcie polowania na **zające** - szaraki w powiecie **łódzkim, sieradzkim, wieluńskim** i w województwie **poznańskiem.**

Dnia 2-go grudnia: otwarcie polowania **na zające** w województwie **tarnopolskiem.**

Dnia 10-go grudnia: otwarcie polowania na **zające** w województwie **pomorskiem.**

Dnia 15-go grudnia: rozpoczyna się czas ochronny na **łosie-byki**, podług ustawy zasadniczej; według min. **rozp.**, nie wolno było polować **rok** cały.

Dnia 16-go grudnia: otwarcie polowania na **zające** w województwie **wołyńskiem,** oraz na **niedźwiedzie** i **rysie** w województwie **poleskiem.**

Dnia 31-go grudnia: ostatni dzień polowania na **sarny - kozły** w województwach **poznańskiem** i **pomorskiem** (podług ustawy zasadniczej);

ostatni dzień polowania na **zające** w powiecie **łódzkim**, w województwie **pomorskiem** i **poznańskiem;**

ostatni dzień czasu ochronnego na **zające** w powiecie **piotrkowskim**, czyli, że tam wolno polować na zające od dnia 1 stycznia.

Rozporządzenie wojewody lubelskiego z dn. 18.XI. 1929 r.:

§ 1. Na obszarze wojew. lubelskiego znosi się czas ochronny na zające-szaraki na okres od 1-go do 31-go grudnia włącznie 1929 roku.

§ 2. Czas ochronny na zające-szaraki ustanowiony do 20 stycznia 1930 r. rozszerza się na obszarze wojew. lubelskiego do 31 stycznia włącznie 1930 r.

§ 3. Rozporządzenie wchodzi w życie z dniem ogłoszenia. — Wojewoda lubelski w.z. Karasiński.

Rozporządzenia wojewody stanisławowskiego z dn. 21 listopada 1929 r. Nr. AD.5170/Po/29.:

Na całym obszarze obwodów łowieckich wspólnych w gminach: Lisowice, Wola Zaderewacka, Nadziejów, powiatu dolińskiego, wprowadzam czas ochronny dla wszystkich zwierząt wymienionych w art. 49 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 3 grudnia 1927 r. na okres 3 lat, t. j. do 30 listopada 1932 r.

Ustanowiony w art. 49 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z d. 3 grudnia 1927 r. czas ochronny na sarny-kozły rozszerzam na całym obszarze powiatu śniatyńskiego od 1 grudnia do 31 stycznia i od 21 kwietnia do 1 czerwca na lat trzy, t. j. 30 listopada 1932 r.

Winni naruszenia przepisów niniejszych rozporządzeń będą karani w drodze administracyjnej grzywną do 500 zł. oraz aresztem do 6 tygodni. — Wojew. Dr. Nakoniecznikow-Klukowski.

Z POLESKIEGO TOWARZYSTWA MYŚLIWSKIEGO.

Zarząd P. T. M. zawiadamia Członków Tow., że w dn. 9 grudnia r. b. w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego, przy ul. Nowy Świat 35, odbędzie się Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie dla rozpatrzenia sprawy rozwiązania przez Dyrekcję Lasów Państwowych umowy na dzierżawę terenów łowieckich Tow.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

—o— Dnia 9 listopada r. b. u p. Pawła Deutschmana w majątku Biernatki pod Kaliszem odbyło się doroczne polowanie na bażanty i króliki, na którem przy pięknej i słonecznej pogodzie w 6 strzelb zabito 905 sztuk, a mianowicie: 559 kogutów, 299 królików i 47 zajęcy.

Królem polowania był p. Józef Radoński z Żelazkowa, mając na rozkładzie 205 sztuk.

Organizacja i prowadzenie polowania, jak zwykle, znakomite, za dowód czego może służyć fakt, że w ciągu dnia wzięto około 40 miotów.

Dla ścisłości trzeba dodać, że na tymże terenie padło już w tym roku około 250 królików i że w wielu miotach, gdzie było dużo bażantów, prawie że do królików nie strzelano.

—o— Dnia 18 listopada b. r., na polowaniu u p. Henryka Steinhagena, w Koszelewie pod Gąbinem, w 12 strzelb zabito 473 sztuki, a mianowicie: 374 zające, 69 kogutów, 17 kuropatw, 12 królików i słonkę.

Ilość zabitych sztuk była wielką a nadzwyczaj przyjemną niespodzianką dla gości, gdyż gościnny gospodarz zapowiadał rezultat o połowę skromniejszy.

Gdyby pogoda lepiej dopisała i gdyby pp. myśliwi mieli więcej naboi, rezultat byłby jeszcze lepszy.

Królem polowania był p. Aleksander Steinhagen, mając 51 sztuk.

—J. S.— W majątku Kobiele Wielkie p. p. Jana i Izabelli Sobańskich, dnia 30.X b. r. odbyło się polowanie na króliki i pędzone kuropatwy w młodych zagajnikach. Ogółem padło królików 239, kuropatw 38, cietrzewi 1; ogółem sztuk 278. W tem polowaniu brali udział: księżna Teresa Sapieżyna, hr. Izabella Sobańska, hr. Adam Starzeński, książę Bohdan Drucki-Lubecki, p. Stefan Siemieński, p. Hieronim Siemieński, hr. Jan Sobański. W sezonie jesiennym, tegorocznym padło więc w majątku Kobiele - Wielkie w trzydniowem polowaniu: kuropatw pędzonych 348, królików 465, cietrzewi 5, ogółem sztuk 818.

—Nadl.— W dniach 6 i 7 listopada r. b. odbyło się polowanie w lasach ordynacji Myszkowskiej w rew. Teresin i Zawonie.

Przy słonecznej i mroźnej pogodzie zabito wyłącznie w sztrajfach leśnych: 693 zajace, 7 kuropatw, 3 bażanty, 1 lisa i 1 słonkę.

W polowaniu brali udział: pp. margrabia Wielopolski, hr. Albert Wielopolski, hr. Zygmunt Wielopolski, hr. Alfred Wielopolski, hr. Paweł Potocki, hr. Władysław Tarnowski, p. Józef Dembiński i p. Stefan Dąbrowski.

—.— W dniu 3 listopada r. b. Kółko Łowieckie w Kozienicach urządziło polowanie zbiorowe na wy-

dzierżawionych terenach. Pierwsze to polowanie odbyło się na terenach Łuczynów i Borki (ogółem do 380 ha).

W 26 strzelb upolowano 26 zajęcy i 14 kuropatw. Polowanie zakończone zostało koleżeńskiem zebraniem i wspólną kolacją. Jeden z członków Kółka, p. por. Jerzy Czajkowski wygłosił referat, w którym, prócz krótkiego szkicu historycznego myślistwa, były poruszone aktualne zagadnienia i bolączki współczesnego łowiecwa. Temat ten został później rozwinięty w dyskusji, w której brali udział poszczególni członkowie. Były przytem rozważane zagadnienia gospodarcze Kółka, mające na celu opiekę nad zwierzyną, oraz sposoby ukrócenia miejscowego kłusownictwa. Biesiada koleżeńska pozostawiła po sobie jak najmilsze wrażenia, a wśród miejscowych myśliwych spotęgowała świadomość obowiązków prawdziwych rycerzy z pod znaku Św. Huberta.

—o— O ogromnej ilości pardw w powiecie postawskim na Kresach wschodnich świadczy fakt podany przez p. Karola Korkozowicza, że na terenach Kółka myśliwskiego w Miadziole w ciągu 1½ dnia w 5 strzelb przy 3 psach było na rozkładzie 11 cietrzewi i 43 pardwy.

—o— W nadleśnictwie Olkienickiem puszczy Rudnickiej dn. 29.IX na polowaniu miejscowego Kółka w 3 strzelby zabito lisa i cietrzewia.

o— W Iłowie powiatu wilejskiego dn. 5.X w 2 strzelby z wyżłem zabito 6 pardw.

Z WARSZAWSKIEGO ZWIERZYŃCA.

Troje lwiątek, które niedawno przyszły na świat w ogrodzie zoologicznym w Warszawie i wslawiły go udatnem doświadczeniem żywienia lwiąt pokarmem kobiecym w pierwszych dniach po urodzeniu, o czem głośno jest w prasie zagranicznej, będzie obecnie mogło być oglądane przez publiczność w każdą niedzielę.

Ogród zoologiczny wzbogacił się o parę lam. Zamówione były w Ameryce. Mieszkają w osobnej stajni, skąd wychodzą często na spacery. Zwierzęta te doskonale czują się w naszym klimacie. Będzie je można spotkać na spacerach i w zimie, gdyż nie boją się zimna. Pozatem zwierzyniec ma się wzbogacić o lamparta, tygrysa, parę szympansów, jak również o łosie, dla których przeznaczony jest obszerny teren.

Projektuje się dalsze rozszerzenie pawilonów, jak również wybudowanie lokalu restauracyjnego i pomieszczenie dla orkiestry.

Do ogrodu zoologicznego nadeszły z ogrodu zoologicznego w Stokholmie trzy młode renifery. Umieszczono je w zagrodzie za jeleniami i dzikami. Renifery są tak młode, że nie będą jeszcze mogły podczas bieżącej zimy służyć do wożenia dzieci saneczkami.

Ogród przygotowuje się już na dobre do sezonu zimowego. Wielkie ptaki wodne prawie wszystkie znalazły się już w specjalnie pobudowanych ptaszarniach, dla małych ptaszków zrobiono szałasiki zimowe. Pozostawiono również na swobodzie pelikana. Zwierzęta z krajów tropikalnych umieszczono już również w schroniskach zimowych, przyczem zarząd Ogrodu postarał się o pewne udogodnienia dla publiczności. Słonie, które w ubiegłym roku nie były widziane w zimie, obecnie będą mogły być oglądane przez cały sezon zimowy.

Część urządzeń rozrywkowych, czynnych obecnie w „Luna Parku" przy Ogrodzie Zoologicznym, przenosi się na Dynasy, wobec czego Ogród zoologiczny traci poważny dochód z tego źródła, przeznaczony na rozszerzenie zwierzyńca. Żeby utrzymać część tego dochodu, wydział finansowo-podatkowy występuje do magistratu o przeznaczenie podatku widowiskowego, jaki opłacać ma „Wesołe Miasteczko" w wysokości 30 proc. dochodu brutto, na dochód Ogrodu zoologicznego.

Dyrekcja Ogrodu opracowała dokładny plan jego rozbudowy, uwzględniający kolejność zakupów pewnych gatunków fauny. Ogród zoologiczny ma być pewnego rodzaju przeglądem świata zwierzęcego. Pieniądze, które byłyby wydane na zakup np. jeszcze lwów, czy tygrysów, zużywane będą na kupno coraz to nowych gatunków, jakich ogród jeszcze nie posiada.

Wiadomości bieżące.

WALKA Z KŁUSOWNICTWEM.

Na Pomorzu kłusownictwo, a szczególnie wnykarstwo, jest ogromnie rozpowszechnione w ostatnich czasach. Myśliwy, obznajmiony z miejscowymi stosunkami, obliczył, że w jednej ze wsi na południowym skraju Borów Tucholskich, znajduje się 70 sztuk nielegalnej broni. W jednej ze wsi powiatu Morskiego, podczas obławy odebrano 34 sztuki broni. P. wojewoda pomorski wydał też okólnik do starostw, w którym poleca zaostrzyć walkę z kłusownictwem i powołać do współdziałania sołtysów, policję i leśników. Okólnik nakazuje stosować najwyższy wymiar kary za przestępstwa kłusownictwa. Pozatem p. wojewoda zarządził przedstawienie wykazu osób, które odznaczają się szczególną gorliwością w walce z kłusownictwem, w celu rozdzielenia im nagród pieniężnych, wyznaczonych przez Pomorski Klub Myśliwski.

W Lubelskiem kłusownictwo też jest bardzo rozwinięte. Walkę z niem jednak prowadzi się bez przerwy. W ciągu 3 miesięcy skonfiskowano tam 24 sztuki broni myśliwskiej, oraz karabiny przerobione i dostosowane do celów myśliwskich. W wyniku energicznej walki, jaką władze wypowiedziały kłusownictwu, wytoczono za te przestępstwo przeszło 100 spraw sądowych.

— **Pochód zwierząt w Warszawie.** — W urządzonym przez Ligę Opieki nad zwierzętami, pochodzie w d. 17 listopada najpokaźniej liczebnie wystąpiły psy wszelkiego rodzaju, prowadzone na smyczach, wyjątkowo bez kagańców, i niesione na rękach lub wiezione w pojazdach. Była to na wielką skalę wystawa psów, hodowanych w Warszawie. Miłośnicy psów mogli podziwiać wspaniałe bernardy, dogi duńskie, niemieckie i dalmatyckie, charty, pudle, szpice, pinczery, ratlery, psy japońskie, wyżły, buldogi, terriery, wilki i t. d. Większość psów przybrana była w kokardy barwne u szyi. Z początku zwłaszcza był w tem wielkiem psiem zbiorowisku zgiełk niemały, psy bowiem głośnem szczekaniem manifestowały swą radość. Licznie bardzo reprezentowane były koty od zwyczajnych do wspaniałych okazów angorskich z puszystemi, jedwabistemi futrami.

W mniejszej już liczbie w pochodzie uczestniczyły ptaki w postaci papug i gołębi, pozatem zaś — lisy oswojone i króliki. Jako dowód możliwości zgody wśród zwierząt, zwracał uwagę wózek, zaprzężony w psa, a we wnętrzu piesek, kot, gołąb i wiewiórka. Nad wózkiem napis głosił: „Nie jesteśmy ludźmi, więc żyjemy w zgodzie." Transparenty niesione przez chłopców, zawierały głos protestu przeciw barbarzyńskim kagańcom.

— **Z dnia św. Huberta.** — W Garwolinie w dzień św. Huberta odbył się tradycyjnym zwyczajem bieg myśliwski, urządzony przez I pułk strzelców konnych. Bieg zakończono łapaniem lisiego ogona, przy udziale 37 jeźdźców i amazonek z p. Heleną Zakrzewską na czele. Zwyciężył por. Łuszczewski. Liczba gości wynosiła przeszło 100 osób. Pozatem odbył się bieg myśliwski dla podoficerów z udziałem 30 jeźdźców. Mastrował p. Wrześniewski.

— **Za lisem w dniu św. Huberta.** — Prasa poznańska obszernie opisuje przebieg uroczystości Wielkopolskiego Automobilklubu w dniu św. Huberta.

Z opisów tych wyjmujemy kilka szczegółów ciekawszych:

Do „pogoni za lisem" stanęło 18 samochodów. Największym postrachem dla zawodników była maszyna wybitnego myśliwego, który polował w puszczach brazylijskich. W Dąbcu wszystkie maszyny ruszają, otrzymawszy objaśnienia, wskazujące farbę czerwoną, — ślad lisa. Ślad zaprowadził do Posadowa, majątku prezesa Klubu, hr. Łęckiego. Pierwszą nagrodę zdobyła Tatra.

STRZELNICTWO.

= **Zawody myśliwskie.** Podczas tegorocznych, okręgowych zawodów strzeleckich w Lublinie, które odbyły się w dniach 6, 7, 8 i 9 października, z licznym udziałem myśliwych miejscowych, rozegrano między innemi następujące konkursy myśliwskie:

W strzelaniu XI na 100 mtr. o nagrodę przechodnią oficerskiego koła myśliwskiego garnizonu Lublin strzał do kozła — I m. K. Komierowski, II m. G. Mazurkiewicz i III m. rtm. J. Morzyński. Nagroda — dzban kryształowy, dyplom i żetony.

W strzelaniu XII na 25 mtr. o nagrodę firmy Friesman strzał do zająca — I m. G. Mazurkiewicz, II m. K. Komierowski i III m. J. Gąsiorowski — nagroda żetony.

W strzelaniu XIII na 16 mtr. broń śrutowa do rzutek o nagrodę firmy Hatys — I m. Mazurkiewicz, II m. Z. Wachowicz i III por. J. Żmudziński 43 p. p. — nagroda żetony.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

✕ **Ceny futer.** — W połowie listopada na rynku lwowskim tendencja cen futer była słaba. Kredytu udzielano do 12 miesięcy przy wpłaceniu 1/3 części ceny zakupu. Zanotowano następujące ceny za sztukę w złotych, podług kupieckich nazw swoistych futer: Baranki astrachańskie 20—50, rumuńskie, czarne 50—90, popielate 50—90, krymskie 80—100, perskie, czarne 150—250, popielate 150—250, bronzowe 90—160, slinksy białe 50—60, rosyjskie dublony 30—45, bobry włoskie 30—45, bobry amerykańskie 300—1000, bibrety 25—35, chomiki w oryginalnych błamach 300—450, cywety 25—35, gronostaje 60—80, jonaty czarne, amerykańskie 30—40, popielate syberyjskie 22—35, krety 1.20—2, kozy orenburskie, białe na dywaniki 60—80, króliki chińskie, imitacja gronostai 20, farbowane na imitację różnych zwierząt 10—20, kangury australskie oraz „Wiktorja" 60—130, lisy krajowe 50—120, popielate „Alasca" 350, japońskie, naturalne 30—200, białe, polarne 300 — 1200, niebieskie, farbowane 400—1400, naturalne 220, lisy amerykańskie, imitacja tumaków 220, murmle (świstaki) 30—55, muflony w rozmaitych kolorach 50—100, nutria (błotne bobry) 100—220, niedźwiedzie — ceny giełdowe, oposy amerykańskie, naturalne i farbowane w kolorach 30—50, nurki amerykańskie — ceny giełdowe, piżmaki amerykańskie 30—55, rysie amerykańskie 880—1200, pami (chińskie kuny) 45—55, selskiny-króliki 22—40, piżmaki 45—60, nutria 100—130, wydra 400—700, bobry 800—1000, szopy naturalne 100—300, peczaniki (świstaki tybetańskie) 18—24, skunksy naturalne i farbowane 60—120, sobole amerykańskie i syberyjskie—ceny giełdowe, szakale 70—120, tchórze 60—100, tchórze wirgińskie 500—750, tumaki kamienne i leśne — ceny giełdowe, tasmany 60—120, wydry krajowe i amerykańskie 100—1100, walaby naturalne i farbowane na kołnierze 90—130, wilki litewskie i syberyjskie 150—400, zające syberyjskie farbowane na kołnierze 15—20, źrebce syberyjskie naturalne i czarne farbowane 100—250.

✕ **Europejski Związek Hodowców Zwierząt o futrze szlachetnem.** — W celu utrzymania hodowli zwierząt o futrze szlachetnem na wysokim poziomie i zwalczania sprzedaży zwierząt złowionych jako materjału hodowlanego, Europejski Związek Hodowców zwierząt futerkowych z siedzibą w Szwajcarji, wydał specjalne przepisy o licencji i rejestrowaniu materjału rozpłodowego.

✕ **Kursy hodowli zwierząt futerkowych.** — W celu zapoznania hodowców z metodami nowoczesnej hodowli zwierząt futerkowych, Związek Hodowców tych zwierząt, znajdujący się przy Centralnym Komitecie do Spraw Hodowli Drobiu w Warszawie, ul. Kopernika 30, organizuje w styczniu r. p. specjalny kurs hodowli omawianych zwierząt.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia z nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktorzy przyjmują w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.

Redaktorzy: Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stow. Łowieckich.

Inteligencja psa.

— Co za głupiec jest ten twój pies, częstuje mnie swym kagańcem, ilekroć zaczynam mówić!

— Mylisz się. W tem właśnie mamy dowód jego wielkiej inteligencji.

Jedzący buldog.

W jednem z pism zamieszczono następujące ogłoszenie:

„Jest do sprzedania duży buldog dwuletni. Jada wszystko. Szczególnie lubi dzieci“.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.